

PRZYTULISKO

Szkoła Podstawowa nr 367
Im. Polskich Noblistów

Zespół redakcyjny pod opieką p. Emilii Polańskiej

Zespół redakcyjny: Karolina Suska, Michał Juraszek, Maja Cortinovis, Filip Bogacz.



Jan Matejko, *Konstytucja 3 Maja 1791*

Apel z okazji rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja w SP nr 367

W piątek 27 kwietnia 2018r. odbył się w Szkole Podstawowej nr 367 apel 227-rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Aby upamiętnić ten doniosły fakt w historii Polski uczniowie klas 2b i 2c przygotowali część artystyczną pod kierunkiem pani Renaty Dziedzic, Katarzyny Kapusty oraz siostry Ewy Twardowskiej.



Wszystkim obecnym na apelu uczniom przypomniano wydarzenia związane z naszą Ojczyzną. Uświadomiono wszystkim, że warto pielęgnować patriotyzm w nas samych każdego dnia.

Gramy dla Mamy i Taty

Maj to pracowity miesiąc dla naszych pierwszaków. 16 maja 2018r. odbędzie się koncert pt: „Gramy dla Mamy i Taty”. Przygotowania do tego wydarzenia bardzo pochłonęły dzieci. Najpierw mali artyści pracowali nad programem artystycznym złożonym z wierszy, piosenek oraz tańca. Kolejnym krokiem było wykonywanie prezentów dla kochanych rodziców. Dzieci wykonywały prezenty z ogromnym zaangażowaniem i wielką starannością. Dużym i emocjonującym wydarzeniem było również przeprowadzenie głosowania na „Galę 2018” w szkole. Nasze pierwszaki pierwszy raz brały udział w takim przedsięwzięciu, a mimo to zadanie wykonały bardzo profesjonalnie. Niebawem klasa pierwsza weźmie udział w konkursie plastycznym „Laurka dla Mamy”, który jest organizowany w świetlicy szkolnej. Do życzeń dla wszystkich Mam dołączają się również uczniowie klas starszych, w szczególności trzecioklasiści, którzy będą wspierać nasze pierwszaki podczas programu artystycznego i wspólnie zaśpiewają.

Emilia Kombor



*W kalendarzu Święto Matki
Z życzeniami śpieszą dziatki.
Ja Ci Mamo dziś w podziękę
Za twe trudy daję serce
I przepraszam za me psoty,
Za wybryki i kłopoty.*

Wiersz na Dzień Matki

W zielonych oczach Matki
Świeci wiosenna łąka.
Słońce na drzewach śpiewa
i budzi kwiaty w pąkach.

W niebieskich oczach Matki
szepcze kwitnący strumień.
Tak opowiadać bajki
to tylko Mama umie.

W błękitnych oczach Matki
pogodne niebo fruwa.
Kiedy zasypiasz - Matka
jak gwiazda nad snem czuwa.

A w czarnych oczach Matki
noc od samego świtu
okrywa cię skrzydłami
ze srebra i błękitu.

Tadeusz Kubiak



Życ to działać, to rozsiewać po świecie talent...

Poniżej przedstawiamy wyniki oraz wybrane prace Warszawskiego Interdyscyplinarnego Konkursu Inspirowanego Życiem i Twórczością Laureata Literackiej Nagrody Nobla Władysława Stanisława Reymonta

Opis krajobrazu:

I miejsce: Michał Juraszek (SP 367)

II miejsce: Daria Gostoł (SP 368)
Filip Bogacz (SP 367)

III miejsce: Maja Cortinovis (SP 367)
Julia Michalska (SP 365)

Ilustracja:

I miejsce: Antonia Dajnowicz (SP 367)

II miejsce: Weronika Czapla (SP 368)

III miejsce: Agata Banachowicz (SP 31)
Maja Wrońska (SP 367)



Antonia Dajnowicz

Ulicą Długą przetaczały się chmury

Ulicą Długą przetaczały się chmury ciemnego pyłu zmieszanego z gryzącym dymem szczątków. Jak śmierć wlewały się te nieustające, popielate obłoki, żeby wwiercić się w nosy i przywlec ze sobą woń prochu strzelniczego. Nikt tu nie chciał tych chmur, ale jak nieproszony gość nadciągały bez zaproszenia, bez wytchnienia. Powoli osnuwały swoją mgiełką rozpacz i wysysały ostatnią z tłących się nadziei. Leniwie, jakby nikomu nie spieszyło się jeszcze umierać, dusiły i psuły bystre oczy. Sięgały gdzieś poniżej poziomu zrujnowanych, osmolonych dachów, odcinając ostrym nożem wizje gwiazd w nocy. Schodząc niżej, gdyby przyszło nam do głowy przemierzać ulicę na czworaka, stracilibyśmy z oczu wszechogarniający pył, który przybrałby gorszą, bo skroploną formę i zmienił w szorstką cegłę, niegdyś czerwonorudą, lecz dziś szaroburą, jakby nawet materii nieożywionej udzieliło się otaczające rozdrażnienie, graniczące z szaleństwem. Postrącane z objęć murów zlewały się w mdłą, ciemną rzekę, jakby Styks, ale wśród świata żywych, Rubikon, ale płytszy. Chociaż nawet nie dało się w nim zmożyć kostek, usilnie wzburzał i zalewał podstawy budynków, silniejszy był niż stado byków, bo wytrwalszy. Rwący, dziki potok poskręcanych, poczerniałych liści, kurzu, połamanych cegłówek i dachówek, pieniający się od horyzontu po horyzont ciągnął ulicą Długą w swoich wodnistych trzewiach złote obrączki, ale też przegniłe koce. Powoli osiada bury obłok brudnej ziemi, wzniecony szamotaniną. Jak zmęczony życiem człowiek zsuwa się do strumyka, tak chmura znika pod taflą wody. Przeplatają się piaszczysta gleba z kurzowym kłębem, tworząc jeszcze bardziej nieprzeniknioną całość. Zaraz za człowiekiem odpływają jego senne marzenia – zwiewne ulotki i drobne papiery, część z nich trafia do mętnego

potoku, a resztę łowią sterczące kikuty osmolonych kominów. Wszędzie leżą codzienne, tanie jak barszcz, a tak potrzebne w życiu przedmioty, pozostawione tak, jakby ich właściciele przemienili się w niewidzialne duchy. Część z nich jest jeszcze mokra i pamięta ludzki dotyk. Krzesło, na które ciśnięto lekką ulotkę, było bliskie osunięcia się ku czeluściom rzek, a pod nim stał wiklinowy kosz czerwonych, zimnych czereśni otulonych brudnym od wielokrotnego zamarzania i topnienia śniegiem. Jakby tamta lina, na której rozwieszono mokre, przegniłe i pachnące wciąż krochmalem ubrania wcale nie była rozpostarta w poprzek uliczki. Pierwszy jej koniec obwiązano wysoko, wokół ocalałej cudem balustrady ceramicznego tarasu, ciężkiego od mokrej makulatury, podczas gdy drugi koniec po prostu pozostawiono nisko, przy ziemi. Przygnieciono go połówką samotnej cegły w szczątkach kuchni, żeby wiatr tak łatwo nie porwał cennej odzieży. Zupełnie, jakby ktoś zaraz miał się zorientować, jaką głupotę zrobił, rozpościerając linkę krzywo i za chwilę rzuci się, by to poprawić, zanim całe rozwieszone pranie zsunie się i wpadnie do wody. Zaczerwieniły się kępki suchej, niekwitnącej trawy, która skorzystała z zaniedbania terenu przez człowieka i ogólnego pobjowiska. Niemal czereśniowe krople zbierały się gdzieś w plamki jak piegi na twarzy. Wydawało się, że nawet zieleń przyrody zrobiła się szara i sieroca. Zbiedniały korzonki od nieustannego nacisku nawałnic twardych podeszew, smutno wybledły już i tak białe, najprostsze krwawniki, jedyne ocalałe kwiaty. Nieprzenikniona pokrywa chmur odcinała dostęp do zimnego światła krótkiego dnia, odbijając się na każdym pozostałym skrawku życia. Gdzieś, ktoś, kiedyś, dawno temu rozsypał drobne ziarna, które zmieszały się z brunatną, skutą ziemią. Nie dziobią ich wygłodniałe ptaki.

Można zadrzeć głowę ku niebu i zadać sobie pytanie, cóż takiego się widzi. Jeżeli wzrok przedrze się przez chmury chłodnego kurzu, być może dojrzy prawdziwe, białe obłoki, choć będą one drżące i zniekształcone przez pryzmat ich smolistych, przyziemnych odpowiedników. Przy odrobinie szczęścia przemkną też wysoko spóźnione bociany. Dumne, choć zwyczajne ptaki niesione na skrzydłach nowego podmuchu, który choćby i na chwilę przyniesie jesienne ukojenie, wyprze zgromadzony w ulicznych nieckach pył.

Michał Juraszek

Sosna

Sosna. Drzewo na pierwszy rzut oka takie, jak każde inne. Jest ich więcej niż ludzi, lecz jedną cechą mają wspólną – nie ma dwóch takich samych. Ta roślina ma własny charakter, najbardziej wyróżnia ją ciekawość. To właśnie dlatego pochyla się nad szkołą, jakby próbowała spojrzeć w jej głąb. Tkwi w tej pozycji od lat, nadal nieznużona życiem toczącym się w środku.

Jej gałęzie starają się sięgać jak najdalej, ponieważ obserwowanie uczniów to jej ulubione zajęcie. Oni nie zwracają na nią uwagi. Jej to nie przeszkadza – drzewa nie pragną sławy ani pieniędzy jak ludzie. Bez przerwy powtarzają, jakie to oni mają szczęście, że nie mają korzeni. Ta sosna zawsze marzyła o zwiedzeniu całej Warszawy. Lubi swoją szkołę i swoich sąsiadów, jednak to nigdy nie wystarczało. Jej igły zawsze były najdłuższe, dlatego też znała najwięcej plotek, zwłaszcza na temat niesamowicie brudnego centrum stolicy. Lecz ona zawsze chciała przekonać się o tym na własnej korze.

Kiedy była młoda najbardziej ciekawiło ją, co jest za budynkiem szkoły. Słyszała opowieści o dzieciach, które grają w piłkę. Wierzyła, że pewnego dnia i ona będzie mogła to zobaczyć, więc z niecierpliwością czekała na chociażby najmniejszą kropelkę wody. Każde „chlup” dawało na-

dzieję. Teraz to ona opowiada historie z boiska.

Dolna część pnia zaczyna szarzeć. Kora staje się niczym włosy wiekowej kobiety. Dobrze widoczny staje się garb, sosna skupia się teraz na tym, co jest najbliższej. Wie, że widziała już wystarczająco. Często próbuje przekazać uczniom, że warto się na chwilę zatrzymać. „Po co się tak śpieszyć?” - takie pytanie najczęściej słyszą. Zdaje sobie sprawę z tego, że zwyczaj ich pośpiech jest zbędny, ale oni nie słuchają. Gdy jeden z nastolatków przekroczy granicę, z igieł spada na niego rosa lub krople deszczu. To jedyny sposób, by się zatrzymał, nawet jeśli jest zirytowany tą sytuacją. Najbardziej lubi dni, gdy przychodzą odwiedzić ją absolwenci. Pod jej pnem wspominają, szeptem opowiadając roślinie o swoich przygodach. A ona lekko się kiwa, jakby potakując swojemu rozmówcy. Ma nadzieję, że takich osób będzie więcej.

Jednak, tak jak inne drzewa, jest częścią natury, na jej stan mocno wpływają warunki pogodowe. Deszcz wpływa na nią bardzo dobrze, dodaje jej siły. Za to gdy przychodzi burza, jest z nią bardzo źle. Wiatr szarpie ją i ogołaca z igieł, czasami nawet zrywa gałęzie. Jest stara, przez co jeszcze bardziej podatna i bezbronna. Przez wielokrotne próby chowania się przed piorunami jej gałęzie opadły. Zdecydowanie najbardziej lubi tęcze, ponieważ wtedy nawet najbardziej zabiegani uczniowie przystaną na chwilę, a ich twarze się rozpogodzą.

Nikt nie wie, jak wielki wpływ na życie szkoły ma ta roślina, ponieważ nikt nie pamięta czasów, gdy jej tu nie było. Od zawsze opiekuje się swoimi uczniami, a gdy tylko którykolwiek z nich obdarzy ją spojrzeniem, ona cieszy się jak małe dziecko. Wychowuje je z ogromną dozą cierpliwości i czułości, nie chce niczego w zamian. Ma jedynie nadzieję, że zatrzymają się na chwilę i pomyślą o swojej osobistej tęczy.

Maja Cortinavis

Lato w Korzkwi

Lato w Korzkwi zawsze było zagadką. Nigdy nie dało się stwierdzić, czy pogoda dopisze. Zdarzały się tygodnie bez opadów, ale były też takie, w których nie dało się wyjść z domku z powodu ulewy. Nie przypominam sobie jakiegokolwiek innej pogody w tym miejscu. Jedynie skwar lub deszcz. Dziś trafiłem na leniwy, upalny dzień. Słychać było ciche brzęczenie owadów, a w suchym powietrzu unosił się słodki zapach zapylanych kwiatów. Stara, porośnięta bluszczem brama jak zwykle była zamknięta na równie starą i zardzewiałą kłódkę. Za bramą widoczna była ścieżka, złożona z kwadratowych kamieni, prowadząca w głąb działki. Całe ułożenie owej działki było dość nietypowe.

Położona była ona na zboczu góry zwanej Lipcówką. Wszystkie ścieżki były do siebie równoległe i tworzyły równe rzędy regularnie schodzące w dół. To była jedyna regularna rzecz, która tu występowała. Wszystkie miejsca pomiędzy ścieżkami porośnięte były przez rośliny. Na wejściu, tuż pod płotem, rosły olbrzymie funkcie. Kącik z bramą, niezależnie od pogody, zawsze był nieco bardziej ciemny i wilgotny niż reszta działki. Pamiętam, jak zawsze trzeba było uważnie iść przez początek dróżki, ponieważ kamienie były śliskie i zniszczone przez mchy. Idąc dalej ścieżką, wkraczało się na bardziej nasłoneczniony odcinek. Z bocznego murku wychylał się obszerny milin, z niższych partii wyglądał mały barwinek usilnie starający się zagarnąć choć odrobinę letnich promyków słońca. Naprzeciw, tuż nad zejściem, rosła glicynia, jej fioletowe kwiaty, do złudzenia przypominające kiście winogron, spokojnie powiewały na suchym wietrze. W połowie drogi do domku, który znajdował się na końcu parceli, położone były ociosane kamienne bloki. Służyły one za schody i były dużo bardziej bezpieczne niż pierwsze zejście. Prowadziły do czegoś, co wyglądało jak zarośnięty pokój. Jedyną dziwną rzeczą

było to, że stał na zewnątrz, sam niczym góra wystająca z falującego kwiatowego morza. Gdy podeszło się bliżej, można było zobaczyć metalowy szkielet dawnej szklarenki. Obumarłe pnącza wznosiły się i opadały, tworząc osobliwy pawilon, do którego wstęp miały tylko małe zwierzątka. Mimo tego, że działka była zamieszkała, nikt nigdy nie zadał sobie trudu, by wyciąć porastające go rośliny. Trzeba było jednak przyznać, że pozostałości szklarni idealnie zgrywały się z letnim chaosem, jaki tu panował. Piękny, niesymetryczny, dziki chaos. Coś w tym miejscu sprawiało, że kolory stawały się żywsze. Ostre światło, padające na rośliny, bardziej raziło w oczy, sprawiając, że łzały. Słońce oświetlające środek działki chciało dotrzeć do każdego możliwego miejsca. Padało na wszystko, starając się przebić przez wszystkie możliwe powłoki, nic nie mogło się ukryć. Intensywniej czuć było wszystkie zapachy. Aromat dojrzałych malin połączony z wonią jabłek mógł doprowadzić do szaleństwa. Bzyczące owady, krążące między kwiatami sprawiały, że działka wyglądała jak metropolia pełna uwijających się robotników. Dalej, poprzetykana dmuchawcami, droga wychodziła na mały trawnik, pełen białych stokrotek. Tuż po lewej, przed tarasem, znajdował się ozdobny ogórek. Rosła w nim lawenda, ale największe wrażenie robiły białe róże. Ich delikatne, kremowo-białe kwiaty wznosiły się w stronę słońca i dumnie prezentowały całemu światu. Z trawnika roztaczał się, zapierający dech w piersi, widok. Można stąd było zobaczyć całą dolinę, przeciwległy pagórek opadający w stronę rzeki, ukrytej pod koronami niżej położonych drzew. Mimo iż była ukryta, to zawsze dawała o sobie znać poprzez szum wartko płynącej wody. Na zboczu, pomiędzy przysadzistymi drzewami, ukryta była droga, którą okazyjnie przejeżdżały samochody.

Na końcu kamienistej dróżki znajdowała się mała chatka. Stała w cieniu kilku strzelistych sosen. Ganek wiecznie

zasypany był igiełkami i szyszkami. Obok wejścia do domku stały miski z jedzeniem dla dzikich kotów. Nikt nie wie, skąd się wzięły, ale od kilku lat były stałymi lokatorami zagraconej piwnicy. Pod balkonem, który wysunięty był w stronę stromej ujęcia działki, rosły cyprysy i kolejne sosny, które były początkiem olbrzymiego mieszanego lasu, schodzącego aż po kres horyzontu. Cała działka była chaotycznym zbitkiem kolorów i zapachów, które w pewien sposób tworzyły niczym nieograniczoną harmonię.

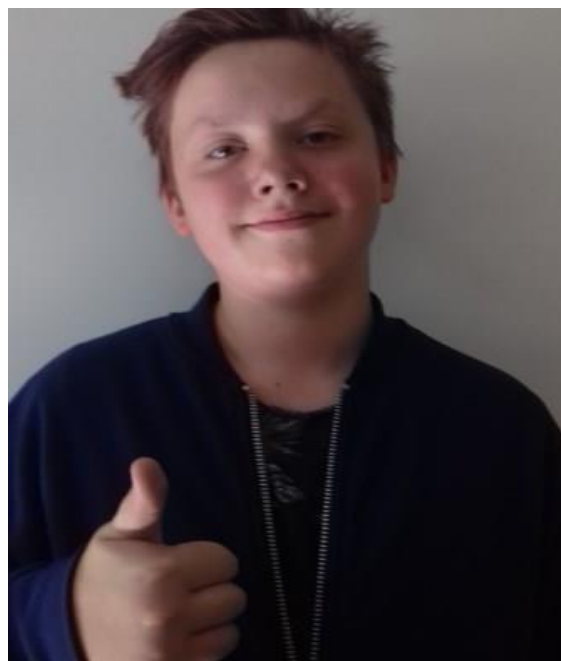
Działka w Korzkwi była jak przystań, w której trzeba było poddać się osobliwemu nieporządkowi, aby finalnie dostąpić odpoczynku po długim, schematycznym dniu.

Filip Bogacz

KAŻDY JEST OBDARZONY JAKIMŚ TALENTEM

Na pewno większość z uczniów zna Igora Koncmana, który jest jednym z najpopularniejszych youtuberów w naszej szkole. Jego parodie (i nie tylko!) są naprawdę komiczne.

Uczeń klasy 7 B prowadzi kanał „Igor parody” i zgodził się odpowiedzieć na kilka pytań.



- Od kiedy nagrywasz?

-Samo nagrywanie zaczęło się 7 marca 2015 roku. Z mojego doświadczenia wiem,

że aby nagrać śmieszny filmik, trzeba poświęcić trochę czasu. Pierwszy film na mój kanał został wstawiony 5 czerwca 2016 roku.

- Dlaczego akurat parodie?

- Uznałem, że to dość oryginalny pomysł, a to ze względu na to, że od dzieciństwa kocham aktorstwo, a co najważniejsze uwielbiam się śmiać.

- Skąd czerpiesz inspiracje?

- Inspiracje czerpię głównie z piosenek, ale też z własnej wyobraźni. Do tego mam grupę na Facebooku, której widzowie piszą swoje propozycje.

- Jak często nagrywasz?

- Zależy to oczywiście od tego, ile mam czasu oraz od moich chęci i zaangażowania.

- Ile filmików już nagrałeś?

-Do tej pory 7 w tym 6 parodii.

-Nie nudzi cię to?

-Czasami wydaje mi się, że to jednak nudne, ale i tak uwielbiam nagrywać.

-Jaka jest maksymalna ilość subskrypcji, jaką udało Ci się osiągnąć?

-Ze względu na rozwijanie się kanału posiadam 118 subskrypcji.

-Zdarzają Ci się hejty, jeśli tak, to jak często?

-Hejty to codzienność, jednak muszę zasnąć hejterów, gdyż mam do siebie ogromny dystans i nie przejmuję się takimi rzeczami.

-Jaka jest twoja ulubiona parodia?

-Myślę, że spośród wszystkich 6 najbardziej lubię parodię „Pszczółka Maja”.

-Traktujesz nagrywanie poważnie czy raczej jako zabawę?

-Nagrywanie filmików dla mnie jest od zawsze zabawą. Można tworzyć, śmiać się do woli i co najważniejsze cieszyć się, że można dać dawkę śmiechu odbiorcy.

-Jakie masz plany na dalsze parodie?

-Niestety nie mogę tego zdradzić, to niespodzianka dla widzów.

-Sam wymyślasz swoje filmiki, czy ktoś Ci pomaga?

-Zazwyczaj tworzę sam, choć zdarza się, że pomagają mi przyjaciele.

-Gdyby zaproponowano Ci wzięcie udziału w jakimś reality show to zgodziłbyś się?

-Tak, oczywiście! To byłby dla mnie zaszczyt, poza tym lubię wyzwania. Pozdrawiam wszystkich moich widzów - Igor Parody.

Karolina Suska

Wspomnienia z wycieczki

W dniach 9-11 maja klasy 7e i 2e były na wycieczce w Mrągowie. Uczniami opiekowały się panie Adriana Wiejak, Danuta Kalinowska oraz siostra Bernadeta Rząsa. Przeczytajmy, jak wyjazd wspominają uczniowie. **Tomek:** „Dzięki wycieczce na-

uczy-
cierpli-
ponie-
nie
głem
nywać
szości
tywno-
Zapa-
łem
piej
struk-
ich
ne po-
do



łem się
wości,
waż
mo-
wyko-
więk-
ak-
ści.
mięta-
najle-
instruk-
torów i
świet-
dejskie
pod-

opiecznych. Ciekawa była wycieczka do Wilczego Szańca, a wpłynął na to klimat miejsca oraz entuzjastyczne podejście naszego przewodnika”.

Maja: „Na zielonej szkole nauczyłam się współpracy, a to dzięki grom zespołowym”.

Wiktor: „Wycieczka była przyjemna i pełna zabaw”.

Asia: „Najbardziej podobało mi się budowanie noszy, na których potem musieliśmy przenieść jedną osobę z naszej grupy”.



Pod sekretnym niebem skrywała się pstrokata głowa siwego nowożeńca. Szczęśliwy wybranek siedział w małej klitce – ściśnięty był w niewygodnej przestrzeni pomiędzy gablotą a klatką schodową między piętrem trzecim i czwartym. Uściślając, w szklanej gablocie przechowywano kurz w wiadrach, a na piętrze wyżej mieszkała wrażliwa rodzina, toteż mężczyzna uważał, żeby nie zrobić hałasu.

Nowożeniec przysiągł, że będzie przestrzegał trzech zasad. Teraz spoglądał na swoje sekretne niebo umieszczone na suficie piątra trzeciego, stanowiącego jednocześnie podłogę czwartego, wysoko zadzierając głowę. Myślał, czy dobrze postąpił. I chociaż kurczowo zaciskał ręce na zaręczynowym pudełku z zimnymi nóżkami w galarecie, nie mógł pozbyć się wrażenia, że dłonie pocą się strugami. Spojrzał na swoje piękne, sekretne niebo. Widział w nim swoje własne konstelacje. Dziś najjaśniej błyszcząły Wielka Pleśń, Mała Pleśń, Hydraulik oraz Pas Sąsiadki. To była piękna noc. Prędko zasnął, zwrócony twarzą w stronę magazynku na kurz. Warto zauważyć, że szczęśliwy wybranek nie posiadał własnego domu – jego dom był tylko i wyłącznie pod sekretnym niebem. Gdy więc następnego dnia wrócił do domu po ciężkiej pracy, nie zastawszy swojego ukrytego nieboskłonu pomiędzy gablotą a klatką schodową, stał się bezdomny i oszalał. Była z nim wtedy jego świeżo upieczona żona i szczyrzyła się jak głupia.

– Nie ma! – wrzasnęła i zatańczyła w swoim szczęściu, wymachując dziko kończynami. Nowożeniec przyznał jej rację. Jego sekretne niebo zniknęło ot tak, nie pozostał po nim ani ślad.

– Nie ma! Nie ma! – Jesteśmy bezdomni! – zgodził się siwy mężczyzna. Żona ujęła jego twarz w dłonie. Popatrzyli sobie w oczy.

– Nareszcie – szepnęła. – Czekaliśmy tak długo...

Jakby byli dziećmi, wspólnie rzucili się do drzwi, zbiegli po schodach aż na sam dół i wybiegli z rozpędu wprost pod ogromną, czarną płachtę ogarniającą świat nad ich głowami. To było wprost niewiarygodne, jak sięgała od horyzontu aż po horyzont i zdawała się błyszczeć. Nie tłoczyli się w ciasnocie. Teraz, kiedy wreszcie mogli

spoglądać na otwarte niebo, zaczęli tęsknić za swoim niebem, tym bardziej osobistym.

– Co to oznacza? – spytała z niepokojem w głosie żona. Pokazała na grupkę kolorowych ludzi w portkach na szelkach, którzy wspólnymi siłami wynosili ich sekretne niebo, dysząc ciężko, bo to było ciężkie niebo.

– Obawiam się, że musimy odpuścić. I z ciężkimi od straty upragnionej stratosfery sercami usiedli na mokrym, nocnym skwerze. Śledzili ruchy ludzi. Wywołano kilka ostrych komend, załadowano ich własne niebo na ciężarówkę, aby w końcu odjechać, wykręcając, przy ogłuszającym ryku silnika. Niechętnie i w ciszy zjedli razem zimne nóżki w galarecie. Jedzenie było mdłe i gumowate, nie pozwolili sobie jednak na zmarnowanie jedynego prezentu zaręczynowego, jaki dla siebie mieli.

– Wreszcie wolni?

– Tak. Nowożeniec skinął głową.

– Gdzie my jesteśmy? – Kobieta zatoczyła dłonią krąg, pokazując na niewielki skwer, na którym właśnie wspólnie spoczywali. Był cały zagracony pustymi wiadrami i połamanymi wachlarzami. Stanowił jedyny ocalały skrawek zieleni w okolicy, a tą okolicą było rondo i długa, gładka droga asfaltowa. I przysadzisty budynek mieszkalny, który jeszcze pół wieku temu służył za lecznicę.

– Siedzimy na ziemi.

Przez moment wstrzymali oddechy. Zdawało się, że ci nowożeńcy zaraz znów się sobie oświadczą.

– Nasze niebo było ciężkim. Teraz nasza ziemia będzie lekka.

Żona przyznała mu całkowitą rację, gdy wygrzebywała palcem resztkę wodnistej żelatyny.

Michał Juraszek